



**ANDRZEJ F. PACZKOWSKI**

**TA GŁUPIA**

Andrzej F. Paczkowski

# **TA GŁUPIA**

© Copyright by  
Andrzej Paczkowski & e-bookowo  
Zdjęcie na okładce: sxc.hu  
Projekt okładki:  
e-bookowo  
Korekta: Katarzyna Jarkulisz

ISBN 978-83-7859-316-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo  
[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)  
Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione  
Wydanie I 2014

Andrzej F. Paczkowski *Ta głupia*

***Dedykuję Oldze Bychkowej.***

Za oknem panowała nieprzenikniona ciemność. Wybiła godzina siedemnasta. Grudzień. Na naszej wsi ludzie siedzieli w uśpionych domach, zamknięci na niezliczone zamki i tłoczyli się w jedynym ogrzewanym pokoju, jak śledzie w puszcze niewiadomego pochodzenia. Okna zaparowane. W środku smród i zaduch. Odór żyjących w zamknięciu niemytych ciał i klimat polskiej dżungli domowej ze swym charakterystycznym zapachem. Wietrzyć się nie wietrzyło, ponieważ za oknami panowała zima. Wietrzyło się wyłącznie latem. Myć też się nie myło a jedynie na szybko podmywało gdzieś tam, bo ciepła woda nie leciała, bojler nie działał i nie znalazł się nikt, kto by go naprawił. Należało też oszczędzać. Zawsze tak było, z każdą rzeczą w domu: jeżeli coś nagle przestało działać, to po prostu nie działało i już. Koniec. Kropka. I gdyby jakaś zabłąkana owieczka pojawiła się tej nocy przed takim domem, zapukała i poprosiła o wejście, po zamknięciu drzwi najpierw zakręciłoby jej się w głowie, a następnie zwałoby ją na kolana.

Było niezłą sztuką nauczyć się w takim domu żyć!

Miastowi by nie potrafili. Pewnie nawet by nie rozumieli. Ale my, wieśniacy? Dla nas to było normalne.

W takie mroźne zimy ludzie całymi rodzinami, przy szybko zapadającym zmierzchu, potrafili dniami nie wychodzić ze swych nor. Chleba nakupiło się i zamroziło pod dostatkami. Kiedy jeden się skończy, rozmrozi się drugi. Zamrażalki stały pełne jedzenia, więc nikt nie musiał niepotrzebnie opuszczać domu.

Całe wagony papierosów leżały poukładane na szafie, a piwnica zawalona była nie tylko starymi i niepotrzebnymi gratami, ale również bimbrem własnej roboty. Jak wieś długa, nie było rodziny, która nie wyrabiałaby własnego alkoholu.

Zazwyczaj spało się do południa w zasiniąłych pościelach. Na brud nikt nie zwracał większej uwagi. Oczywiście, czasem robiło się pranie, ale zimą mało kiedy do tego dochodziło. Stara frania jeszcze działała, na nową może i znalazłyby się pieniądze, ale przeznaczano się je na coś innego.

Nazywam się Marysia. Mam siedemnaście lat i jestem alkoholniczką. Nie, oczywiście żartuję. Nie jestem alkoholniczką. Nie znoszę alkoholu. Chociaż powiedzieć: nie znoszę, to też nie jest tak całkiem prawdą, bo czasem lubię sobie pofolgować. Jak każdy. Ale z umiarem.

Mieszkam na jednej ze wsi, skąd tylko rzut kamieniem dzielił nas od czeskiej granicy. Sąsiadka to posiada nawet pół pola w Polsce, a pół w Czechach i oczywiście, jeżeli chodziło o podatki, to trzeba było płacić w obu krajach.

Wszystko zaczęło się psuć, gdy rodzice podjęli decyzję o otwarciu baru. Ale zanim do tego doszło, przybliżę trochę nasze życie.

Dom, w którym mieszkaliśmy wybudował pradziadek, który już nie żył i od czasu jego śmierci nikt nie utrzymywał go w dobrym stanie. O dom należy dbać, pielęgnować go, załepiać rany czasu, okładać plastrem niczym ranę na ciele, jak tylko pojawi się mała ranka czy pęknięcie. Dom, w którym żyją ludzie, żyje razem z nimi. Ale jeżeli przestajesz o niego dbać, mała ranka przekształca się w większą i pozostaje tylko kwestią czasu, kiedy zaczniesz ropieć i stanie się z niego wrak. Czyli dokładnie ta sama sytuacja co z człowiekiem.

Nasz dom popadał w ruinę.

Ojciec pracował na kopalni już przeszło trzydzieści lat. Był to człowiek pochudły o zapadniętych policzkach i przesłoniętych mgłą, przekrwionych oczach, z niewielką ilością pozostałych na głowie włosów. Skóra twarzy posiniała, stała się szara jak u człowieka stojącego jedną nogą w grobie.

Matka ostatni raz pracowała przeszło dwadzieścia lat temu. Kiedy na świat przyszedł mój pierwszy brat zakończyła „karierę” w domu starców, osiadając w domu. I od tamtego czasu zaczęła już tylko tyć. Kobiety nie mają lekko w życiu. Jeżeli nie jesteś tym typem, który z dnia na dzień po porodzie wróci do swojej szczupłej sylwetki, sytuacja stopniowo się pogarsza. No, chyba że pokochasz siebie i swoje dodatkowe kilogramy.

Dom, w którym przyszło nam dorastać, oprócz parteru posiadał niewielkie piętro. Od kiedy pamiętam, nie używaliśmy wolnych przestrzeni na górze, ponieważ znajdowały się tam tysiące niepotrzebnych i zakurzonych starych gratów. Można tam było znaleźć dosłownie wszystko, gdyż zarówno matka, jak i ojciec byli typowymi, charakterystycznymi zbieraczami. Wszystko mogło się przydać.

– Tylko mi tego nie wyrzucaj! To się jeszcze może przydać!

Po odłożeniu danej rzeczy na strych, zapominało się o niej i już nigdy jej nie używało. Ale w sercu rodziców przynajmniej zapanowywał spokój, bo nie wyrzucili, bo kiedyś wykorzystają się to do czegoś, bo po co dawać komuś, przecież nam nikt nic nie da...

Rzeczy zaś rdzewiały, porastały coraz grubszym kurzem, w ich wnętrzach zadomawiały się pająki a z czasem nawet gołębie. Potem zapominało się, co tak naprawdę tam leży. Był to swego rodzaju cmentarz zapomnienia. Ludzie lubią żyć bez podejmowania decyzji, bo czasem okazuje się zbyt wielkim

wysiłkiem. Dlatego usuwa się coś w kącie, myśląc, że potem, że jutro, że następnym razem.

I tak, będąc dziećmi, często zagłębialiśmy się w knieje dziwnego cmentarzyska rzeczy zapomnianych, gdzie można było znaleźć naprawdę ciekawe rzeczy, jak stare książki, szmaciane lalki, ubrania, koła od roweru, szklanki, talerze, pożółkłe pornograficzne czasopisma...

W zamieszkałej części domu nie mieliśmy żadnej książki. Matka nigdy nie czytała, ale przed gośćmi starała się wyglądać na czytającą, co jej się oczywiście nie udawało. Dla ojca książki służyły jedynie do rozpałki ognia w piecu, dla nas... No cóż, kiedy byliśmy dziećmi, okropnie nudne lektury szkolne (i nieodpowiedni nauczyciele) po prostu tak nam zniechęciły czytanie, że stroniliśmy od książek jak od igły podczas szczepienia. Więc, gdy leżały na strychu i osiadały rok po roku kurzem, czuliśmy, że tam jest ich właściwe miejsce.

Patrząc w przeszłość, uważam, że największy problem w naszym czytelnictwie był spowodowany szkołą. Bo zmuszać dziecko, które dopiero co nauczyło się czytać, do brnięcia przez nudne i nieciekawe książki, było złym krokiem. Gdyby chodziło o mnie, zdecydowanie wymieniałabym niemalże wszystkie lektury, poza „Tym obcym” Jurgielewiczowej, na coś znacznie lepszego, krótszego i ciekawszego. Coś, co młodych ludzi przyciągnie do czytania, nie zaś zniechęci.

Gdy pewnego dnia odwiedziłam po raz pierwszy Irkę, koleżankę ze szkoły z którą siedziałam w ławce, przeżyłam szok. W jednym z pokoi stały ciężkie, masywne regały a na nich równo poustawiane książki. Tysiące książek! Oczarował mnie ten widok, którego z początku nie potrafiłam zrozumieć ani nadziwić się.

– Po co macie tyle książek? – zagałam głupkowato.



– Rodzice czytają – padła odpowiedź.

– Ale... tyle tego chyba nie przeczytali?

Nie rozumiałam, jak ktoś może czytać książki, a tym bardziej tyle książek. Przecież tego nie da się przeczytać przez całe życie, choć to wydawało mi się wtedy niezmiernie długie, może nawet niekończące się.

– Niektóre, to ojciec czytał po dwa lub trzy razy – odpowiedziała z pewnością siebie Irka. W jej głosie brzmiała nieskrywana duma.

– Twoi rodzice też czytają? – zagadnęła po chwili, kiedy obchodziłam pokój i delikatnie dotykałam grzbietów wystających pozycji książkowych.

– Nie. U nas w domu się nie czyta. Nawet nie mamy książek.

– Nie macie książek? – Irka zrobiła wielkie oczy. – Jak to?

– Po prostu nie mamy. To znaczy, są jakieś na strychu, ale te się nie liczą.

– Wiesz co? To dziwne.

Zgadzałam się z nią. Było to dziwne, ale przecież ja również w wieku dziesięciu lat nie lubiłam czytać, więc troszkę był dla mnie niezrozumiały cały ten zachwyt nad książkami. Przecież w domu można trzymać o wiele ciekawsze rzeczy, ale... ale jednak, gdy tak patrzyłam na regały i półki powyginane od nałożonego na nie ciężaru, musiałam stwierdzić, że była w tym wszystkim jednak jakaś ukryta siła.

Irena wiedziała, że nie przepadam za czytaniem książek. W szkole miałam problemy, nigdy nie znałam odpowiedzi na pytania, traktujące na temat danej lektury. Próbowалаm czytać ale... po prostu nie rozumiałam. Może wtedy nie chciałam nauczyć się rozumieć, ponieważ miłości do literatury nie wy-

niosłam z domu a w szkole też jej nie uczyli?

Jakiś czas później Irena wpadła na pewien pomysł.

– Pokażę ci coś. Ale będzie to nasza tajemnica.

Obiecałam, że nikomu nie pisnę nawet słowa. Irena wprowadziła mnie do swojego pokoju, zamknęła drzwi a potem sięgnęła pod łóżko. Po chwili wyciągnęła spod niego grubą książkę w miękkiej oprawie.

– Popatrz – wręczyła mi książkę.

Popatrzyłam, ale nic nie rozumiałam. Była to zupełnie nic mi nie mówiąca książka.

– Przeczytaj kto to napisał?! – ponagliła mnie Irena.

Spojrzałam na nazwisko autorki i przeczytałam jak to było napisane.

– J a c k i e C o l l i n s? – przeliterowałam bezmyślnie litery, jak były napisane.

– Nie Jackie, tylko Dżeki i nie Collins, ale Kolins.

Popatrzyłam na Irenę, jakby spadała z księżycy.

– Boże, ty niczego nie rozumiesz?

Pokręciłam głową. Zrobiło mi się wstyd. O co jej chodziło?

– To autorka angielskiego pochodzenia! Siostra Alexis z Dynastii!

Oczywiście wiedziałam kim jest Alexis, Dynastię oglądali wszyscy, ja również. Nie wiedziałam, że ona ma siostrę, która pisze. Zresztą, skąd to miałam wiedzieć? Byłam tępą jak strzała, jak mówił wiele razy brat. Ale przecież nie interesowałam się czytaniem.

Irenie skończyła się cierpliwość.

– Ty nic nie rozumiesz! To książka dla dorosłych, że tak powiem, kapujesz? Ameryka naszych czasów, alkohol, seks,

zbrodnie...

Poczułam, jak się czerwienię.

– I ty to czytasz? A twoja matka?

– Mama to czyta, ja sobie pożyczyłam, ale ona nic nie wie. Nie podobałoby jej się to. Ale ja muszę wiedzieć, co ona i jej przyjaciółki czytają. Rozumiesz? To czytają wszystkie kobiety, zachwycają się, gadają o tym.

– Ale...

– Pożyczę ci jedną i przeczytasz. Ale musisz uważać, żeby cię matka lub ktoś nie nakrył z tą książką. Gdyby się moja mama dowiedziała, zabiłaby mnie. Uważa, że jestem na to za młoda.

Irena zagłębiła rękę znowu pod łóżko i wyciągnęła kolejną książkę. Żony Hollywoodu. Gruba i ciężka. Od razu wiedziałam, że nie przeczytam. Nienawidziłam grubych książek.

– Schowaj do plecaka. I czytaj, gdy nikt nie będzie cię widział. A potem zobaczysz.

– Co zobaczę? – zmarszczyłam brwi.

– Zobaczysz, co zobaczysz – odpowiedziała głupio.

Pomyślałam, że Irena była trochę walnięta, zresztą nie dziwiłam się teraz, że choć bogata, to jednak nie miała w szkole wiele przyjaciółek a jedynie ja się z nią kolegowałam. Ale zabrałam książkę ze sobą do domu.

Plecak rzuciłam w sieni i pobiegłam do prac domowych, ponieważ u nas w domu panowało zupełnie inne życie, niż w domu u Ireny. Tu nie było wiele czasu, w każdym razie dla mnie, na naukę czy czytanie książek.

Czekało mnie ugotowanie obiadu, ponieważ matka często bywała pijana i nic nie robiła. Potem musiałam zrobić w zimnym domu ogień w głównym piecu w piwnicy, wynieść po-

piół, który zalegał stosami przed piecem i... i tak do wieczora, każdego dnia to samo.

Lekcje odrabiałam przy świecy w dochodzących mnie krzykach pijanych rodziców. Kiedy już skończyłam zadania, nagle pomyślałam o książce. Wyciągnęłam ją ostrożnie z plecaka i otworzyłam pierwszą stronę. A potem zaczęłam czytać. I w ten sposób zostałam pochłonięta przez świat literatury raz na zawsze.

Pamiętam wypieki na twarzy. Wszystkie rozgrywające się w książce sceny miłosne dosłownie stawały mi przed oczami. Te niezliczone wyzwiska, wulgaryzmy, świat alkoholu i narkotyków, ludzi niezwykle bogatych... Zanim się spostrzegłam, świeca wypaliła się do końca, z pokoju rodziców dochodziło chrapanie a za oknem wstawał świt. Najgorsze jednak w tym wszystkim było to, że byłam tak pochłonięta czytaniem, że nie potrafiłam oderwać się od lektury.

W szkole spotkałam Irenę. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na mnie, a już zrozumiała o co chodzi.

– I co, mówiłam?

– Mówiłaś! – wyszeptalam. – Oby tylko mama tego nie znalazła!

– Nie martw się. Nawet jeśli znajdzie, to i tak nie zrozumie. Co innego z moją matką. Ta się zna na rzeczy.

Po szkole gnałam do domu, jakby sam diabeł deptał mi po piętach. Musiałam dowiedzieć się co będzie dalej! Zabrałam książkę ze sobą do piwnicy i kiedy rozpałam już ogień, usiadłam skulona pod ścianą, zagłębiając się w ten fascynujący świat.

– Marysia! – piętro wyżej otworzyły się drzwi i snop światła ukazał się na schodach. – Wcięło cię, czy jak? Co ty tam robisz tak długo?